NUMER 36. DNIA 6-go WRZEŚNIA 1903 ROKU ROK XI.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

EDMUND LIBAŃSKI.

Polonia w Danji.

Skodsborg, 20. sierpnia 1903.

— „Jeśli Pan będzie w Danji“ — mówił we Lwowie do mnie Redaktor, gdy wybierałem się w celach kuracyjnych na północ — „odszukaj pan najlepszego przyjaciela Polaków ks. Ortveda i poznaj tamtejsze kolonje polskie“.

— Z ochotą, odrzekłem, napiszę Wam o tem.

Odpoczywałem właśnie w Skodsborg pod Kopenhagą, gdy na moje zapytanie otrzymałem serdeczny list z zaproszeniem od ks. Ortveda.

— „Bardzobym rad przyjąć pana u siebie, żebyś pan widział, jak się jego rodakom tu powodzi, o wszystkiem mu powiem i pokażę, co tylko sobie życzy. W kościele bywa dużo Polaków z Galicji, z którymi będzie pan mógł się rozmówić. Oczekuję pana w Maribo w sobotę...

* * *

...Wybrałem się więc do Maribo.



KS. ORTVED.

Podróż z Kopenhagi trwała godzin pięć — przed oczyma przesuwały się miłe, łagodne krajobrazy pięknej żyznej Danji, szerokie, w dal szumiące, złote łany, prześliczne łąki ze stadami pasących się krów, koni, lub kóz, a od czasu do czasu wyrastały na widnokręgu wstęgi małych lesistych pagórków lub też odsłaniały się w dali fale skąpanego w słońcu morza. Pociąg mijał stacje pomniejsze, aż pod cieśniną M a s n e s u n d cały wtoczył się na parowiec, który przewiózł go na ląd wyspy Laaland, poczem pędząc czas dłuższy blisko wybrzeży stanął w M a r i b o.

Na krańcu małego schludnego miasteczka widniał z daleka kościół katolicki i plebanja (Katolsk Kirke og Proestegaard).

Zacny ksiądz witał już serdecznem „Szczęść Boże“ gościa z Polski.

— Dobrze się złożyło — mówił — w sam czas wróciłem od mych Polaków.

Weszliśmy do mieszkania — ks. Ortved prosi do swej pracowni, na ścianach drogie sercu polskiemu postacie: Kościuszko, Skrzynecki, Dwernicki, Sobieski — na stolikach pisma polskie, album Grottgera, „Przyjaciel ludu“, książeczki Szkoły ludowej, Macierzy polskiej, kalendarz Wojnara. Na półkach widzę: „Polska w trzech rozbiorach“ Kraszewskiego, Album pisarzy polskich — dalej Sienkiewicz, Żeromski — dzieła historyczne — geografja itp. — ba... nawet cały zbiór nut pieśni polskich, góralskich i dumek ruskich.

Dokoła rozwieszone nasze kilimy a ks. Ortved objaśnia: „to buczackie, to kossowskie... te z Wiązownicy itp.“ — Na etażerkach całe muzeum polskiej sztuki stosowanej — keramiki; naczynia polskie z starych wykopalisk i najnowsze wyroby majolikowe galicyjskie i z Królestwa, wszystko zestawione i dobrane z prawdziwie artystycznym smakiem.

Istotnie wzruszająca to niespodzianka ujrzeć na obczyźnie taki przybytek polskości, a po czterech tygodniach, w których obijały się o uszy dźwięki obcej mowy usłyszeć język rodzinny!

Ks. Ortved włada nim doskonale, jakkolwiek z akcentem wyraźnie duńskim.

Wyraziłem zdziwienie, a zarazem radość, iż nasi wychodźcy z kraju znajdują kawałek Ojczyzny, którą opuszczają na długi przeciąg czasu. Zapytałem, jak to się stało, iż zacny gospodarz stał się, jak sam mówił „z serca Polakiem, jakkolwiek z krwi Duńczykiem“.

— Wszystko, wszystko panu opowiem — ale trzeba myśleć o posiłku. Proszę na obiad — opowiem panu niejedno o sobie i o pańskich rodakach, a jutro pojedziemy do nich, naocznie pan się przekona, jak się mają wasze Mazury i Mazurki na ziemi duńskiej...

— Dobrze, odrzekłem, interwiew z Księdzem Dobrodziejem przy czarnej kawie.

Będzie, będzie! — odpowiedział z humorem.

W istocie po czarnej kawie, wezwał mię uśmiechem: pytaj Pan! — będę jednak ostrożny — dodał filuternie — wiem, jak to dziennikarze potem opisują!

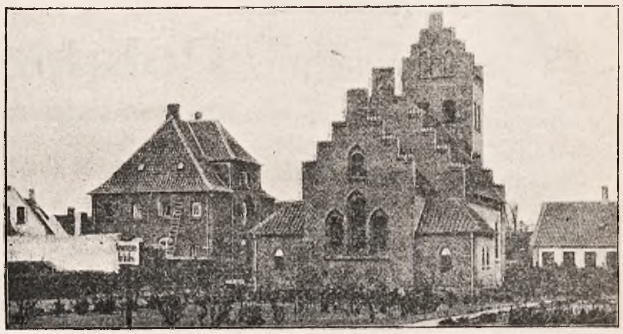
Nie napiszę nic więcej, prócz tego co widzę i słyszę — sam redaktor prosił o poznanie tutejszych stosunków Polaków oraz ks. Ortveda, znanego serdecznego ich opiekuna.

No dobrze, dobrze, pytaj pan! Zacząłem więc:

Może to zbyt niedyskretnie, ale w istocie niezmiernie radbym się dowiedzieć, jak Ksiądz Duńczyk wychował w sobie serce polskie?

Matka moja zrobiła mnie Polakiem. Z historji polskiej, z gazet i pism w r. 1863 rozentuzjazmowała się do męczeńskich waszych walk o niepodległość. Kochała Polskę i mnie nauczyła ją kochać! Umiemy cenić wolność i wiemy, co to jest walka o nią. Wszystkie gazety duńskie pałały w tym czasie gorącą sympatją dla narodu polskiego...

Miałem wówczas lat 10, poprzysiągłem sobie, że pójdę do powstania polskiego, gdy tylko się powtórzy — w tym celu wstąpiłem do wojska, zacząłem sam uczyć się po polsku z doskonałej gramatyki którą mamy. (Autor C. W. Smith, profesor na uniwersytecie w Kopenhadze). Służba jednak w wojsku, jakkolwiek byłem już oficerem, nie odpowiadała mi. Ponownego powstania nie zrobiliście, a mnie powołanie zawiodło do kościoła — zostałem misjonarzem.



Kościoł katolicki w Maribo.

W r. 1892 po raz pierwszy przybyli robotnicy polscy do Danji. Było ich podówczas około 400, pracujących w cukrowniach i na polach burakowych. Z każdym rokiem wzrastała ich liczba, a pozostawali bez wszelkiej opieki socjalnej i religijnej. Wtedy postanowiłem być ich opiekunem i jak Pan widzi, mamy dziś tu kościół polski, jedyny na całą Danję, mamy bibljotekę dla nich, udzielam im wszelkiej porady, jadę od dworu do dworu dla udzielania im Sakramentów, pożeniłem wiele stadeł, odprawiam nabożeństwa, wygłaszam kazania po polsku i widzę, że praca moja nie jest daremną. Obecnie jest w Danji około 4000 wychodźców polskich, którzy przez przeciąg ośmiu miesięcy pracują, by z uciułanym groszem wrócić na zimę do domu.

(C. d. n.)

WACŁAW SIEROSZEWSKI

POWRÓT.

POWIEŚĆ.

(10)

Karski odszedł na ubocze i położył się na miękkiem wydmisku twarzą do góry. Wysoko nad nim, na mleczno-szafirowem sklepieniu drżały ledwie dostrzegalne gwiazdy. Wokoło głucho szumiały nurty, wietrzyk szeleścił w wiklinach, zwiastując rychły świt.

Karski zamknął oczy i wyobrażał sobie, jak też wygląda z oddali wśród tego ogromu i majestatu drobna wysepka z iskrą płonącego ogniska, przyćmiona bałwanami kłębiącego się dymu, poplamiona marami dziwacznych cieni, skaczących w rubinowej łunie pełzającego blasku... Nikłe głosy chóru zapewne ledwie mąciły wiekuistą pieśń rzeki !...

Ale z blizka hulaszcza, ludzka piosenka głuszyła wszystko...

Och, och!... Juchy,
Wy dziewuchy,
Udajecie, żeście zuchy;
A jak przyjdzie...
  Co do czego,
Każda boi się wszystkiego,
. . . .
Każda boi się wszystkiego.
Oj Derbent, Derbent, Kaługa,
Derbent, Ładoga... moja!
Oj luli luli la,
Derbent, Ładoga, moja!

grzmiał zaciekle chór.

Karskiemu po niejakim czasie zdawało się, że wyspa kołysze się pod nim i płynie z głosami. Usiadł i spojrzał na śpiewających. Na przedzie siedział krwawy od płomieni ognia Indor i, trzymając nóż za koniec ostrza, wybijał nim takt w powietrzu. Dopóki on śpiewał z ręką wzniesioną do góry, chór milczał poza nim w napiętem skupieniu i tylko po zmiennych cieniach, falą przepływających w takt pieśni na zasłuchanych twarzach śpiewaków, po blasku ich oczu, drżeniu zaciętych warg poznać było, że melodja gra im we krwi nieustannie. Lecz w miarę jak zwrotka dobiegała do końca, ledwie dostrzegalny dreszcz rósł wśród śpiewaków, a z ostatnim jej dźwiękiem zmartwiała ich gromada nagle ożywała, jeżyły się wąsy i brody, otwierały szeroko usta, błyskając zębami, nabrzmiewały grube gardziele, pęczniały na czołach żyły i mięśnie, drgały ramiona, wzlatywały ręce, przytupywały nogi, ogorzałe, obnażone piersi wznosiły się gwałtownie, niby gotowe pęknąć, i pieśń dzika, wolna, porywająca, choć nierozumna, zgodnie leciała w przestworza:

Oj Derbent, Derbent, Kaługa,
Derbent, Ładoga — moja!
  Oj luli — luli — la!
  Derbent... Ładoga — moja!

Poczem chór ucinał równie gwałtownie, jak gwałtownie wybuchał...

I znów ostry, wysoki głos solisty wywodził inną zwrotkę w nagle zapadłem milczeniu, a wtórzył mu szum rzeki i ciche, srebrne echa, zbudzone przez pieśń wśród dalekich skał i lustrzanych roztoczy... I znowu ożywał wielogłosy, wszczepiony w ciemność potwór śpiewaczy, głuszył i pokrywał wszystko, drgał, ruszał się i prężył... A choć każdy śpiewał inaczej, innym ruchem sobie przywtórzał, inaczej głowę chylił, inaczej czapkę na ucho nasuwał, lecz wszystkich łączyła jakaś potężna współdźwięczność, jakaś współbieżność głęboko nurtujących instynktów, rosnąca sama przez się i gotowa wszystko, zda się, w nieskończonym swym rozmachu zdeptać, pokruszyć, rozpętać!...

Karski daremnie w sobie tego czegoś szukał.

— Co tu gadać: niema. Znikło, a może nigdy nie było!.. — rozważał ze szczyptą żalu, gdyż, bądź co bądź, śpiew robił swoje i budził w nim tęsknotę do chwilowego, choć ale zupełnego zapomnienia o innych, do zupełnej beztroski... On nigdy nie zaznał takiego całkowitego rozkiełznania swej osobistości. Leżał rozmarzony na nagrzanych piaskach i słuchał, aż pieśń zamieniła się w niesforny wrzask pijanych, rozwydrzonych głosów. Wtedy wstał i odszedł ku łodzi.

Na brzegu, w ciemnościach, dwie figury szamotały się z sobą.

— Idź już, mówię ci... odbijaj... dalej od grzechu... - szeptała jedna.

— Ja się nająłem, ja bez niego... nie mogę... Teraz noc!.. — krzyczała druga.

Poznał Koźmę i przewoźnika Jakuta. Podszedł ku nim, przestali się szarpać.

— O co chodzi?

— Upił się i jechać nie chce...

— Człowieka przywiozłem!... — tłómaczył się Jakut.

— Wynoś się, wynoś, nie wodź ludzi na pokuszenie!... — gadał Koźma i pchał przeciwnika ku wodzie. Karski nie mieszał się do sporu, ale nie odchodził. On zrozumiał pobudki starego oryla, nie miał również najmniejszej ochoty siedzieć na wyspie, lub wracać do miasta. Jakut zmiękł nagle, siadł do łodzi i zażądał tytoniu.

— Masz i wynoś się, i żeby tutaj w blizkości ducha twego nie postało!... — wyprawiał go Koźma.

— Przyjadę jutro!... — groził krajowiec z ciemności.

— A jakże! Już my cię tu przywitamy! Pan nie uwierzy, coby to było jutro, gdyby te psy znów miasto zwietrzyły. Znam ich dobrze!... Jeden, albo dwóch by uciekło, a reszta by się zbuntowała... Nie chcemy ciągnąć!.. Mało nas!.. Wracaj do miasta!... A właściwie o co im chodzi: o szynk. Och, grzechy, grzechy... przewinienia!..

— A Indor? — spytał Karski.

— Pójdzie i Indor. Dokąd się podzieje?! Dokoła woda... Choć, prawdę powiedziawszy, lepiej, żeby go nie było. Ha, trudno! Co ma być, to będzie! Będziemy się strzedz! Co, spać pan idzie?

— Spać!

— Tak, tak!.. Jutro rano ruszamy... Niech pan spoczywa z Bogiem... Dobra noc!

Obejrzeli się poza siebie na wzgórek, gdzie w krwawej łunie ogniska skakały kosmate cienie i tłukła się ochrypła pieśń, rwąc daremnie ku niebu. Koźma znikł gdzieś w cieniu szkuty, a Karski ostrożnie wpełznął pod daszek swej budy.

— Nie śpisz, Anno? — spytał, słysząc westchnienie żony.

— Te wycia umarłego są w stanie obudzić! Straszni ludzie, i jakie... nieprzyzwoite rzeczy wygadują. Tyle dni razem!.. Jak ja, po tem wszystkiem, twarz im pokażę! — biadała pani Anna.

Karski milczał. (C. d. n.)

Z dziejów rodziny i własności.

KOWALEWSKI M. Zarys początków rodziny i własności. Warszawa, Księgarnia naukowa, str. 238.

KOWALEWSKI M. Rozwój stosunków ekonomicznych w Zachodniej Europie. Warszawa. Wydawnictwo poradnika dla czytających książki, str. 330).

W czasach ostatnich zjawiło się na półkach księgarskich u nas dość dużo wydawnictw naukowych z dziedziny społecznej. Zjawisko to jest bardzo pocieszające, jest ono bowiem wyrazem żywszego zajęcia się naszej inteligencji zagadnieniami życia zbiorowego. Między dzisiejszymi socjologami Maksym Kowalewski należy do najwybitniejszych. Należy on do rzędu tych nielicznych uczonych, którzy łączą gruntowną znajomość prawa, etnografji, historji i socjologji.

Kowalewski pogłębił znacznie przez własne studja naukę pierwotnego prawa porównawczego. Jego dość długi pobyt na Kaukazie pozwolił mu wejrzeć bezpośrednio w życie Osetynów, Kabardyńców, Swanetów i wielu innych plemion, które, znajdując się jeszcze na względnie niskim stopniu rozwoju społecznego, w prawie swem i obyczajach przedstawiają nieprzebraną kopalnię faktów, mogących nam rozjaśnić początki i pierwsze fazy rozwoju różnych instytucji życia zbiorowego. Szeroki umysł Kowalewskiego nie zadowala się zgłębianiem przeszłości odległej tylko. W swej znakomitej pracy p. t. „Rodowód demokracji współczesnej" przedstawił on wspaniały

obraz Francji z czasów poprzedzających wielką rewolucję francuską, oraz powstanie i rozwój instytucji ludowych, powołanych do życia przez tę ostatnią. Zasługują też na uwagę jego liczne artykuły i prace, dotyczące starej Anglji z czasów rewolucji i wojny chłopskiej w XVI. wieku, wreszcie jego obszerna praca o gminnem władaniu ziemią.

W czasach ostatnich niestrudzony ten badacz podjął zadanie przedstawienia w wielkiem dziele historji ekonomicznego rozwoju Europy.

Umyślnie wspomniałem o rozległych widnokręgach naukowych Kowalewskiego, aby uwydatnić doniosłe znaczenie, wymienionych w nagłówku prac naukowo-popularnych, streszczających w sobie jego wieloletnie studja z dziedziny rozwoju stosunków rodzinnych i ekonomicznych. Prace te, przyswojone świeżo naszej literaturze, obejmują wykłady uniwersyteckie Kowalewskiego w uniwersytetach sztokholmskim i brukselskim.

W dziełku p. t. „Zarys początków i rozwoju rodziny i własności“, autor w pierwszym wykładzie charakteryzuje rodzinę matryarchalną. W drugim wykładzie Kowalewski uzasadnia fakt powszechnego istnienia tej formy rodziny u różnych ludów, oraz u narodów historycznych w niższych fazach ich istnienia. Właściwie uzasadnienie zupełne powyższej tezy zawdzięczać należy głównie Kowalewskiemu. Istnienie matryarchatu u ludów dzikich i barbarzyńskich wykazanem było przez innych, inni też wskazywali na niektóre fakty, świadczące o jego istnieniu i u narodów historycznych, dopiero jednak Kowalewskiemu udało się ostatecznie kwestję tę rozstrzygnąć.

Socjolog rosyjski, odrzucając istnienie w czasach odległych zupełnego bezładu płciowego, przyjmuje jednak za punkt wyjścia w swych studjach istnienie stosunków małżeńskich między określonymi grupami mężczyzn i kobiet. Ten typ stosunków rodzinnych da się już dokładnie stwierdzić zarówno przez fakty, zaczerpnięte bezpośrednio z życia ludów pierwotnych, istniejących obecnie, lub do niedawna, jak i z tak zwanych przeżytków w prawie i zwyczajach. Sądzilibyśmy, że autor niesłusznie odrzuca pierwotny stan zupełnego bezładu płciowego, a to dla tego, że narzuca on się myśli naszej, jako stan najpierwotniejszy, z którego dopiero później wyłoniły się pewne ograniczenia, tworzące typ, o którym wspomnieliśmy wyżej. Nie mogąc faktycznie stwierdzić istnienia tego najpierwotniejszego okresu bezładu płciowego, możemy go uznać hypotetycznie. Nic absolutnie przeciwko przyjęciu tej hypotezy przemawiać nie może, natomiast trudno przypuścić, aby od razu wyłonił się typ rodziny, o którym wspomina Kowalewski. Wykład trzeci poświęcony jest rozkładowi rodziny matryarchalnej.

Przyczyną tego rozkładu jest zdaniem Kowalewskiego jak i Powell'a wzrost ludności, który zmusza rodzinę matryarchalną, obejmującą znaczną ilość osób, żyjących razem, prowadzących wspólne gospodarstwo — do rozdzielenia się i do rozsiedlania się celem zajęcia nowych terytorjów. Przy tem rozpadaniu się wspólnego gospodarstwa kobiety udają się za swymi mężami.

Jak wiadomo, w rodzinie matryjarchalnej bracia prowadzili gospodarstwo i mieszkali razem ze siostrami. Mężowie byli tylko gośćmi w domach żon. Odtąd przy rozsiedlaniu się ludności, spowodowanem poszukiwaniem nowych terytorjów dla wyżywienia, kobiety odłączają się od pierwotnego pnia rodowego z mężami, dając początek nowemu typowi rodziny, w którym mąż staje się jedynym opiekunem żony i dzieci.

Nie możemy tu streszczać niezmiernie ciekawych wywodów autora o rodzinie patryarchalnej, o przyczynach jej upadku, o zmianie jaka zaszła w stosunku ojca do dzieci i t. p.

Praca Kowaleskiego jest bardzo zwięzła i obejmuje dużo faktów. Zaznaczymy tylko, że znakomity socjolog rosyjski zmienia nieco poglądy dotychczasowe na typ rodziny patryjarchalnej. Wykazuje on mianowicie, że nawet w Rzymie ojciec nie był takim absolutnym panem, jak to zwykle sądzą, że zapominać nie należy o instytucji rady rodzinnej, w skład której wchodzili niektórzy krewni żony i matki rodziny, i zdania której to instytucji ojciec musiał zasięgać w ważnych chwilach, gdy chciał z władzy swojej robić surowy użytek względem żony, lub dzieci. Rada rodzinna występowała tylko w razach nadzwyczajnych, zawsze jednak sam fakt jej istnienia dowodzi, że władza ojca, przynajmniej w zasadzie, nie była absolutna.

Kowalewski w pracy swej uwzględnił szeroko wpływ kultu przodków na życie rodzinne.

Zarówno w kwestji rodziny, jak i własności Kowalewski nie poddał się zgubnemu wpływowi

reakcji, powstałej dzięki płytkim pracom socjologa duńskiego Starcke'go i finlandzkiego Westermarck'a i za punkt wyjścia w swych studjach bierze pierwotny komunizm, rysy którego pogłębia własnemi sumiennemi studjami.

Fakty przytoczone przez Kowalewskiego, a dotyczące pierwotnego komunizmu rodowego, rodzinnego i gminnego były już i poprzednio znane, ważność jednak pracy uczonego rosyjskiego polega na tem, że studja jego wykazały, że powyższe instytucje istniały wszędzie na pewnym stopniu rozwoju bez względu na rasę i klimat, oczywiście w formach swych zasadniczych.

Zasługą Kowalewskiego jest to również, że po raz pierwszy z wielką dokładnością wykazał on, że gminne władanie ziemią powstało z właściwości rodzinnej takiej, jaką przedstawia nam południowo-słowiańska ,,zadruga“.

Przejście to od ,,zadrugi“ do ,,miru“ jest naszkicowane w sposób mistrzowski.

Rozpisaliśmy się o pierwszej pracy Kowalewskiego z powodu jej doniosłości, tu jeszcze zaznaczyć wypada, że układ jej i sposób przedstawienia rzeczy jest wzorowy.

Druga z wymienionych w nagłówku prac Kowalewskiego ma również doniosłe znaczenie, napisaną jest ona jednak w niektórych ustępach trochę chaotycznie. Autor streszcza w niej wyniki swego olbrzymiego, nieskończonego jeszcze dzieła, skutkiem tego praca ta jest przeładowaną wprost mnóstwem niezmiernie ważnych, ciekawych i niekiedy nieznanych nawet faktów. Myślą przewodnią tej pracy jest teza, że wzrost ludności jest podstawą, przyczyną, motorem rozwoju całokształtu stosunków ekonomicznych. Autor bada formy ekonomiczne w zależności od tego czynnika, zatrzymuje się zaś obszerniej nad upadkiem pańszczyzny. Kowalewski zbija umiejętnie poglądy tych ekonomistów, ktorzy usiłują wykazać, że organizacja cechów średniowiecznych była korzystną dla różnych odłamów warstw pracujących, wykazuje, że już wtedy istniały silne antagonizmy klasowe, i że polityka cechów miała na celu wyłącznie interesy majstrów.

Autor uwzględnił dość szeroko stosunki ekonomiczne w posiadłościach feudalnych, przytoczył też wiele faktów, dotyczących gospodarstwa włościańskiego we Włoszech w wiekach średnich.

Dwie powyższe prace Kowalewskiego dopełniają się wzajemnie, dając wyrazisty obraz rozwoju rodziny i stosunków gospodarczych.

Poznanie ich jest niezbędne dla wszystkich ludzi inteligentnych, którzy interesują się rodowodem najważniejszych współczesnych instytucyj społecznych.

L. K.

Iwan Wazow.

BUŁGARKA

2)

EPIZOD HISTORYCZNY

Przełożyła z bułgarskiego Józefa z Zagórowskich Anc.

Wyszedł na dwór sługa, za nim zjawił się i mnich na pół ubrany, z gołą głową.

— Iwanie, kto się tam dobija? — zawołał mnich z niepokojem, opierając się o poręcz łóżka, na którem czerniała rozłożona odzież. Uderzenia powtarzały się.

— Zapewne to jeden z t y c h! Cóż mam robić? Nie puścić! I przełożonego niema teraz....

— Zaczekaj, pytaj naprzód!

— Kto tam? zawołał głośno sługa, nasłuchując, — głos jakby kobiecy.

— Co ci się przyśniło z kobietą, o tej porze? To albo o n i.... albo Turcy... To z pewnością Turcy... Tej nocy wymordują nas... Czego oni tu szukają... Tu niema nic, nie wpuszczam nikogo podejrzanego... Panie zmiłuj się!...

Głos z za bramy dał się znowu słyszeć.

— To kobieta woła, powtórzył parobek.

— Kto jesteś?

— Twoja stryjna, Iwanie, z Czełopieku, otwórz... Och! otwórz!

— Czy sama jesteś? — zapytał Iwan.

— Sama, z wnuczkiem, Iwanie. Otwórz, Bóg ci wynagrodzi!

— Zobacz, czy to nie kłamstwo! — powiedział ojciec Eftymij do parobka.

Iwan zachęcony zbliżył się do bramy i wyjrzał przez okienko. Gdy i mnich przekonał się, o ile na to ciemność pozwalała, że na zewnątrz znajdowała się sama tylko kobieta, kazał Iwanowi otworzyć. Uchylono bramę, wpuszczono wieśniaczkę i w tej chwili zamknięto.

— Niech cię czarci porwą! Czego chcesz tu Ilico? zapytał nadąsany mnich.

— Wnuczek mi chory bardzo niebezpiecznie... gdzie jest ojciec przełożony?

— W Berkowicy. A na co ci on?

— Aby odprawił modły... Ale natychmiast!... Zrób to ty ojcze.

— Co, w nocy?... I cóż ja poradzę na jego chorobę? — mruczał gniewnie mnich.

— Ty nic nie pomożesz, ale Bóg może wszystko.

— Teraz idź spać. Jutro...

Ale wieśniaczka błagała, nastawała uporczywie. Do jutra, kto wie, co będzie. Z dzieckiem jest bardzo źle, choroba nie czeka. Tylko Bóg pomódz może. Ona zapłaci, jak należy.

— Szalona jesteś, zmuszasz nas do otwierania w nocy monasteru, aby wleźli tutaj „buntownicy", aby przyszli Turcy i zniszczyli monaster!

Tak pomrukując, wszedł do swojej celi, skąd po chwili wyszedł w habicie, z gołą głową.

— Chodź!

Poszła za nim do cerkwi. Zapalił woskową świecę, włożył stułę, wziął brewiarz w rękę.

— Daj tu chore dziecię:

Ilica zbliżyła dziecię do światła, twarz miało żółtą jak wosk.

— Ależ ono nie żyje! — zauważył mnich.

Zapadłe głęboko oczęta rozwarły się, jakby dla zaprzeczenia tym słowom, i błysnęły jak gwiazdy, odbitem światłem świecy.

Mnich położył stułę na głowie dziecka, szybko odmówił modlitwę za jego zdrowie, przeżegnał i zamknął brewiarz. Wieśniaczka pocałowała go w rękę, zostawiając w niej dwa piastry.

— Jeżeli przeznaczone mu jest żyć, to wyzdrowieje... Teraz idź spać pod szopę. I mnich zawrócił się ku wyjściu.

— Czekaj, ojcze Jeftymij... zawołała wieśniaczka wahająco. Zawrócił się.

— I cóż tam jeszcze?

Ona zniżając głos rzekła:

— Mam ci coś do powiedzenia... przecież jesteśmy chrześcjanami...

Mnich się rozgniewał.

— Co masz do powiedzenia, co za chrześcjanie? Idź spać, niech się świeca nie pali, mógłby to ktoś spostrzedz z góry i przyjść tu w gościnę...

Mnich miał na myśli „buntowników", wieśniaczka go zrozumiała, Na jej twarzy odbiła się troska a głos zadrżał:

— Nie lękaj się, nikt tu nie przyjdzie...

I z miną jeszcze więcej tajemniczą:

— Gdym szła ze wsi, tam w naszym lesie...

Strach i gniew odbiły się na zmarszczonem licu mnicha. On zrozumiał, że ta kobieta chce mu mówić o czemś niebezpiecznem, przerywając więc zawołał:

— Nie chcę o niczem słyszeć, nic mi nie mów. Trzymaj dla siebie to, co wiesz. Czyś tu przyszła podpalić klasztor?

Wieśniaczka chciała jeszcze coś powiedzieć, ale gdy to usłyszała, słowa uwięzły jej w gardle; bez żadnej więc nadziei, wyszła za rozgniewanym mnichem na podwórze.

— Ale ja tu nocować nie będę! — rzekła wieśniaczka.

Mnich popatrzył na nią zdumiony.

— Co?

— Idę, zaraz...

— Zwarjowałaś!

— Zwarjowałam, czy nie, ale idę. Jutro, skoro świt, mam robotę. Dajcie mi chleba, bom głodna...

— Chleba, tyle, ile chcesz... Daj jej tam Iwanie! Ale bramy nie pozwolę otworzyć. (C. d. n.)

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

PISMA. *„La Pologne contemporaine“*. Mamy przed sobą drugi świeżo wydany zeszyt pięknej tej publikacji w Paryżu, pod redakcją p. Antoniego Potockiego wydawanej, a na 24 zeszytów (po 16 stronic) obliczonej, której celem głównym: przypomnienie Polski Francji, a przez nią Europie. Zeszyt ten zewnętrznie przedstawia się równie wytwornie, jak pierwszy i obfituje w znaczną ilość wyborowych i wybornie reprodukowanych ilustracji, o których powiedzieć można, że umiejętniej zostały dobrane, aniżeli to miało miejsce w pierwszym (część geograficzna). Jako *hors texte* spotykamy tu najpierw heljograwurę z tetmajerowskiej „Wielkanocy na wsi“, a w tekscie szereg reprodukcji z dzieł Chełmońskiego, J. Kossaka, Pruszkowskiego (nie Pruszyńskiego!), Witkiewicza, Mehoffera, Fałata, Pankiewicza, Masłowskiego, Piotrowskiego, Tetmajera, Waissenhoffa i innych, oraz śliczne, na ludowych motywach oparte ornamenty Wyspiańskiego. Zarzutem przeciw układowi jest tylko brak podpisów pod ilustracjami, znajdują się one dopiero na prowizorycznej okładce. Tekst, o ile dotąd sądzić można, dobry i celowi odpowiadający, obejmuje zakończenie rozdziału pierwszego (część geograficzna: *„Le pays“*), oraz początek drugiego (część etnograficzna: *„La nation“*). *A. C.*

Wiadomości bibljograficzne. — Kraushar Al. Dziennik podróży ks. St. Staszica (1777 — 1791). Austrja, Niemcy, Hollandja, Anglja, Francja, Szwajcarja, Włochy, 2 tomy.

Cybulski Ludwik. Przyczyny upadku rolnictwa i głodów w Rosyi. Studjum ekonomiczno-społeczne. W Krakowie 1904. Str. 352.

SZTUKA. *Iliada Wyspiańskiego.* (Iliada. Tekst grecki opracował Leon Sternbach, prof. Uniw. Jag. Jako tekstu polskiego użyto parafrazy poetyckiej Juliusza Słowackiego z r. 1846. Tłumaczenie to, pierwszej księgi od w. 1.—142., przytoczono z I-go tomu dzieł pośmiertnych wydanych przez dra A. Małeckiego we Lwowie 1885. Ilustracje w liczbie jedenastu rysował Stanisław Wyspiański“. — Wydał tenże, Kraków w drukarni Uniwersyteckiej. Nakład księgarni Altenberga. Lwów.) Jest to pełny tytuł najświeższego, a zarazem jednego z najświetniejszych wogóle naszych wydawnictw artystycznych, które stoi na wysokości najwytworniejszych publikacji wydawanych zagranicą, nawet angielskich, prawdziwego arcydzieła sztuki drukarskiej, wykonanego według pomysłu i pod kierunkiem St. Wyspiańskiego. W ilustracjach swoich wielki artysta wyzwolił się zupełnie od wszelkich za „klasyczne“ uznanych wzorów, a jednak stanął, o ile możności, na gruncie najnowszych badań naukowych nad kulturą epoki homerycznej przeprowadzonych i z przedziwną intuicją poetycką umiał odtworzyć, a raczej przetworzyć poszczególne momenty nieśmiertelnego rapsodu. W obrazach jego jest świat homeryczny, taki, jakim on mógł przedstawiać się ludowej ant azji greckiej, pojęty na wskróś indywidualnie, a czasem chciałoby się prawie powiedzieć, że duchowo spolszczony — w ten sposób, jak Homer został zindywidualizowany i spolszczony i to nietylko językowo w przewspaniałej, a tak mało znanej i opracowanej parafrazie Słowackiego. Można być z góry przygotowanym, że na razie niewolnicy szablonu w sztuce to wielkie dzieło talentu okrzykną dziwactwem; dla duszy jednakowoż nie zepsutej komunałem, będzie ono skarbnicą głębokich wrażeń estetycznych, a nie ulega żadnej wątpliwości, że wszędzie za granicą wśród miłośników sztuki i bibljofilów, zdobędzie ono sobie gorące uznanie. U filologów przyczyni się do tego jeszcze nowe krytyczne wydanie tekstu greckiego dokonane przez filologa tej miary, co prof. Sternbach. Pod tym względem sfery kompetentne oceniły już należycie to wydawnictwo, w wielu miejscach (na podstawie badań nad kodeksem weneckim przeprowadzonych) prostujące nawet najnowszy tekst prof. Artura Ludwicka. Księgarnia Altenberga tem wydawnictwem zasłużyła sobie na gorące uznanie. *A. C.*

NOTATKI. *Dictionary of national biography* (Słownik biografji narodowej), olbrzymie przedsięwzięcie literackie w Anglji ukończone zostało. Składa się z 63 tomów, 3 dodatkowych i jednego skorowidza. Obejmuje życiorysy wszystkich znakomitych mieszkańców Wielkiej Brytanji z kolonjami — wyjąwszy tych, którzy jeszcze żyją. Pierwszy tom ukazał się w styczniu 1885 r., ostatni w czerwcu 1900 r.; tomy dodatkowe wydano w 1901 r. Skorowidz, którego układ przedstawiał niemałe trudności, wyszedł w roku bieżącym. „Biografja narodowa“ zawiera 31.000 artykułów pisanych przez specjalistów z uwzględnieniem wszelkich najnowszych poszukiwań. W tem olbrzymiem wydawnictwie 700 blizko współpracowników wzięło udział. Kierował niem do 21 tomu Leslie Stephen, znany autor „Dziejów myśli angielskiej“, następnie do 25 tomu dopomagał mu Sidney Lee, który od 27 t. sam już dzieło do końca doprowadził.

Sprostowanie. W ostatnim numerze „Tygodnia“ w art. „Zagadki literackie“ znajduje się wzmianka, jakoby drukowana w swoim czasie w wychodzącej w Berlinie „Gazecie Robotniczej“ bulla papieska ks. Sciegennego, napisana była przez Stanisława Przybyszewskiego. Wiadomość ta jest mylna. St. Przybyszewski był wprawdzie wtedy redaktorem „Gazety Robotniczej“, redakcją jednak zajmował się niewiele. Wspomniana bulla nie wyszła z pod jego pióra, lecz była opracowaniem, z całym szeregiem zmian, dodatków i skróceń, prawdziwej bulli, napisanej niegdyś przez ks. Sciegennego i podawanej przez niego za pochodzącą od papieża. Oryginalny tekst tej bulli odszukany został w bibliotece królewskiej w Berlinie przez ówczesnych współpracowników „Gazety“ J. S. i W. P.

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego l. 8.